

#niegrzecznenowe


motyleWiosie

KREWNY

Agnieszka Kowalska-Bojar

#niegrzecznenowe

Krewny

Agnieszka Kowalska-Bojar

Wydawnictwo Motylewnosie

Poznań 2025

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar

Copyright © Motylewnosie

Wydanie I

Poznań 2025

Ebook ISBN 978-83-66352-21-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejsze pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Korekta i redakcja: Sylwia Dziemińska,
korektaprzykawie.pl

Wydawnictwo:

motyleWnosie

motylewnosie@gmail.com

Ebooki i książki kupisz na stronie:

www.motylewnosie.pl

www.sklep.motylewnosie.pl

Patronaty



Dziękuję!

W wieku lat siedmiu postanowiłam, że nie będę damą. Kiedy miałam lat siedemnaście, byłam już tego pewna. Gdy stuknęło mi dwadzieścia siedem, stało się dla mnie jasne, że mogę zostać kim chcę, bo i tak nikogo to nie obchodzi.

Pochodziłam ze znakomitej rodziny, o doskonałym drzewie genealogicznym i bardzo, ale to bardzo skromnym majątku. Właściwie ograniczał się on do zaledwie małej chałupki, udającej pański dworek, kilku drobnych klejnotów oraz trzech portretów walecznych przodków.

To było tak niewiele, że pomimo swej oszałamiającej urody nie zdołałam znaleźć męża. Zresztą, chyba nigdy tego nie pragnęłam. Co prawda, wraz z upływającym czasem coraz bardziej tęskniłam do męskiego towarzystwa, do tego, co mogło wydarzyć się pomiędzy dwojgiem ludzi. Ale nawet ja nie wiedziałam, czy przypadkiem nie chodzi o tę bardziej cielesną stronę miłości. Zresztą, powoli miałam dość zaspokajania samej siebie i podglądania służby z zazdrością graniczącą z obłądem.

Pragnęłam seksu, choć nie powinnam była nawet znać znaczenia tego słowa. Ale dawno już nauczyłam się nie udawać przed samą sobą. Bo po co? Spętana konwenansami, tysiącem tego, co wypada, a co nie, miałam tylko jedno miejsce, gdzie mogłam być wolna.

To była moja dusza, moje marzenia.

Kiedy skończyłam trzydziesty rok życia, zmarła jedyna bliska mi osoba. Moja matka.

Miałam do wyboru – albo zostać wyrzuconą na bruk, zabierając ze sobą przykurzoną walizkę i te trzy nieszczęsne portrety przodków, albo też udać się w łaskę do dalekiego krewnego.

Moi rodzice nigdy nie utrzymywali z nim kontaktu. Mówili niewiele, a to, co zdołałam usłyszeć, przepełnione było strachem i powściągliwością. Kiedyś spytałam wprost, o co w tym wszystkim chodzi, skąd to całe przerażenie, ale szybko zostałam zbesztana za bezczelność.

I na tym poprzestałam, czując, że niczego się nie dowiem.

Jednak pomimo tego, że oficjalne drogi były zamknięte, ja miałam inne sposoby.

Podśluchiwałam.

Pewnie gdyby moja dystygowana matka się o tym dowiedziała, zemdlałaby pod wpływem szoku. Ale na szczęście nigdy nie dałam się złapać.

Krewny miał na imię Aleksander, mieszkał kilka dni drogi od nas, w ponurym zamczysku otoczonym złą sławą. Niestety nie dowiedziałam się, na czym polegała ta zła sława.

Był zgorzkniałym, zepsutym do szpiku kości mężczyzną, na dodatek upiornie bogatym. To ostatnie najwyraźniej złościło moich rodziców, którym los poskąpił majątku, a za to obdarował nieposłuszną, swawolną córką.

Wieczorem, siedząc przed lustrem, zastanawiałam się, czego dotyczy zepsucie owego Aleksandra. Wyobrażenia podsunęła mi mgliste obrazy i poczułam, jak moje policzki czerwienieją, a pomiędzy uda napływa dobrze znana wilgoć.

Lustro było prawdomówne. W nikłym blasku świecy i nieco mocniejszym świetle kominka ukazała się niewielka twarzyczka w kształcie serca, otoczona całą masą złotorudych loków, w której lśniły podnieceniem ogromne zielone oczy i uśmiechały się szerokie, wyraziste usta.

Może i byłam piękna, ale też strasznie samotna. Uroda nie dała mi możliwości zdobycia miłości, nie zagwarantowała szczęścia. Za mną było wiele smutnych nocy, przede mną tyle szarych, nudnych dni.

Podniecenie ulotniło się. Pozostała tylko skazana na samotność kobieta.

Siedziałam w podniszczonym powozie, wciśnięta pomiędzy niepozorną kobiecinę, a jakiegoś zażywnego jegomościa, który całą drogę drzemał, niemiłosiernie chrapiąc.

Byłam zmęczona, głodna i bolało mnie całe ciało, ze szczególnym uwzględnieniem części, na której

siedziałam. Z utęsknieniem wypatrywałam upragnionego celu.

Ale kiedy wysiadłam na końcu swej, jak mniemałam, drogi, zamiast ulgi poczułam tylko rozgoryczenie i złość. Był późny wieczór, zaczęło padać, a na mnie nikt nie czekał. Żaden powóz, żadna służba, dosłownie nikt. Miasteczko w strugach deszczu wyglądało niczym wymarłe.

Ze stęknieniem podniosłam walizkę i spytawszy się przypadkowej osoby o drogę, ruszyłam we wskazanym kierunku. Pewnie gdybym nie była tak zmęczona, zastanowiłaby mnie trwoga rysująca się na twarzy zagadniętego mężczyzny. Nawet wydawało mi się, iż ukradkiem się przeżegnał.

Pięłam się w górę po wąskiej brukowanej uliczce, dzielnie walcząc ze zmęczeniem i osłabieniem. W końcu, w gasnącym świetle dnia moim oczom ukazała się niezwykle budowla. Zamek, bo z pewnością był to zamek, zbudowany z ciemnoszarych kamieni, z całą masą strzelistych wieżyczek i zacienionych krużganków, bardziej przypominał siedzibę samego diabła niż hrabiowską posiadłość.

Ale może późna pora dnia i zmęczenie miały wpływ na mój sposób postrzegania? Nieważne. Miałam ochotę jedynie zsunąć przemoczone buty z obolałych stóp, a później położyć się w pachnącej świeżością pościeli.

Co prawda odpowiedź na moją prośbę była dość chłodna i zwięzła, zaledwie jedno krótkie zdanie: „Zgadzam się. Możesz przyjechać”, ale czego miałam się obawiać?

Hrabia Aleksander jawił mi się jako zreumatyzowany, ekscentryczny staruszek, który nie przejmował się tym, co mówią o nim ludzie i dlatego został wyklęty z towarzystwa i odsunął się od rodziny. Może dlatego nie umiałam się bać?

Drżąc, załomotałam w solidnie wyglądające drzwi. Było to wejście dla służby, ale nie miałam siły pójść dookoła, by zjawić się jak należy, od frontu.

Dwukrotnie musiałam powtórzyć, coraz bardziej zdesperowana, przerażona widmem powrotu do miasteczka w tych wszechobecnych ciemnościach, podczas szalejącej ulewy.

A zamkowych okien nie rozjaśniało ani jedno światełko.

W końcu dał się słyszeć ponury zgrzyt otwieranych zasuw, a drzwi się uchyliły i ukazała się biała, pociągła twarz starszej kobiety.

– Witam – powiedziałam drżącym głosem. O mało co siłą nie wdarłam się do środka. – Jestem Kira, baronówna Podhorecka i gość hrabiego. Nie wiem, co się stało, ale nikt nie zjawił się po mnie w miasteczku, gdy wysiadłam z dyliżansu.

Kobieta bez słowa, czyniąc zaledwie niemal niewidoczny gest, zaprosiła mnie do środka. Dopiero kiedy zamknęły się za mną drzwi, odezwała się spokojnym, przytłumionym głosem.

– Spodziewaliśmy się panienki jutro. Dlatego nie wysłano powozu.

– No tak – uśmiechnęłam się blado. Chyba zauważyła moje słabe samopoczucie i ogólnie złą

kondycję, bo wyjęła mi ze zdrętwiałej dłoni walizkę i ująwszy za ramię, poprowadziła w głąb domu.

– Pójdziemy teraz do pokoju panienki. Zaraz przyniosę gorące mleko i jakąś kanapkę.

Migotliwy płomień świecy z ledwością oświetlał podłogę pod naszymi stopami i kamienny, pusty korytarz. Jego sufit ginął gdzieś w mroku nad naszymi głowami, mijałyśmy dziesiątki ciężkich, pociemniałych ze starości drzwi, aż w końcu zatrzymałyśmy się przed jednymi z nich.

Pokój był niewielki, skromnie umeblowany – zaledwie łóżko z baldachimem, szafa i fotel z malutkim stolikiem stojący tuż przed ogromnym kominkiem

Ale najważniejsze było to, że po chwili rozjaśnił go słaby blask rozpalonego ognia, że łóżko kusilo miękkością i świeżym zapachem gładkich pościeli.

Godzinę później leżałam przykryta aż po brodę puszystą pierzyną, z zadumą wpatrując się w dogasający płomień. Za oknami wył wiatr, niczym cały zastęp potępionych dusz, a ja po prostu zasnęłam, zmęczona jak nigdy w życiu.

Ranek nie powitał mnie ani słońcem, ani błękitem nieba. Było szaro, pochmurno i wciąż niesamowicie wietrznie. Błada, chuda służąca przyniosła mi tacę z jedzeniem i suchym tonem powiadomiła, że jestem oczekiwana w salonie za dwie godziny.

Wyszła, zanim zdążyłam się spytać, gdzie ów salon się znajduje.

Jedząc, rozglądałam się dookoła. A więc to tutaj będę mieszkała przez następne lata, a może i nawet do samej śmierci? Nie podobały mi się ani kamienne, zimne ściany,

ani powieszone na niech gobeliny, na których przedstawiono krwawe sceny polowań. Okno było wąskie, strzeliste, kominek poczerniały ze starości, a nad nim wisiał portret wyjątkowo brzydkiej matrony o surowym, przewiercającym mnie na wylot spojrzeniu. Nieliczne meble nie poprawiały nastroju, dodatkowo potęgując wrażenie pustki i samotności. Podłoga ze starych skrzypiących desek nie była przykryta nawet najmniejszym dywanikiem.

Westchnęłam. Tak naprawdę nie miałam prawa narzekać, choć gdzieś w duchu postanowiłam poprosić hrabiego o zgodę na drobne zmiany.

Moja walizka stała nierozpakowana tuż obok szafy. Obok leżał wciąż zamknięty kufer, który przysłałam do zamku wcześniej, spakowawszy w niego swój skromny dobytek.

Wybór sukienek, zwłaszcza teraz, w żałobie, miałam niewielki. Jedna codzienna czarna, jedna odświętna. Różniły się jedynie stopniem zużycia. Obie skromne, bez ozdób, z półokrągłym kołnierzykiem i prostymi rękawami oraz spódnicą.

Ilość ubrań pod spodem ograniczyłam do minimum. Nie cierpiałam gorsetów i pantalonów, a moja matka, choć nie zgadzała się ze mną, to na koniec nie miała już sił na protesty.

Włosy upięłam na czubku głowy, pilnując, by ani jeden kosmyk nie umknął temu ładowi,

po czym odetchnęłam i udałam się na poszukiwania salonu.

Zaraz za drzwiami natknęłam się na kobietę, która wczoraj wpuściła mnie do zamku.

- Witam panienkę. Hrabia oczekuje w salonie.
- Wiem. Ale nie mam pojęcia, jak tam trafić.
- Proszę za mną. Jestem Józefina, ochmistrzyni.

Skloniła się ponownie i ruszyła w głąb korytarza. Mój pokój był umiejscowiony na jednym z jego końców. Mijałyśmy dziesiątki poczerniałych ze starości, solidnych dębowych drzwi, chyba setki różnej wielkości portretów, z których patrzyły na mnie surowe twarze dawno zmarłych ludzi, aż w końcu doszłyśmy do celu.

Do salonu weszłam ze skromnie spuszczoneym wzrokiem. Dygnęłam i dopiero wtedy odważyłam się spojrzeć przed siebie.

Ta komnata porażała swym ogromem i chłodem bijącym z każdego kąta. Kominiek był pięciokrotnie większy od tego z mego pokoju, a przed nim stało kilka foteli w kolorze krwistego wina.

Mężczyzna, który wstał i zbliżał się ku mnie, dokładnie odzwierciedlał moje wyobrażenia na temat wyglądu nieznanego krewniaka. Był wysoki, siwy i dystygowany. Miał pomarszczoną cerę, surowe bladoniebieskie oczy i chyba ze sto lat. Nie podobał mi się wyraz jego twarzy, lekko lubieżny, rozedrgany wzrok, którym mierzył mnie niczym wystawową klacz na targu.

No cóż. Pierwsze wrażenie nie było zbyt korzystne. Aż wzdrygnęłam się na myśl, że będę skazana na jego towarzystwo na bliżej nieokreślony czas. Jednak zasady dobrego wychowania, wpajane we mnie od urodzenia, nie pozwoliły mi na okazanie jakichkolwiek emocji.

– Pani, twoja uroda jest doprawdy zaskakująca – sztywno pokłonił się tuż przede mną. – I dodam, że także oszałamiająca.

Lekko się uśmiechnęłam, bo faktycznie wyglądał na stropionego moim widokiem. Widocznie nie spodziewał się tego po trzydziestoletniej starej pannie.

– Chciałabym po pierwsze złożyć moje najszczerze podziękowania za przyjęcie mnie pod swój dach...

Machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie ma o czym mówić.

– To nie mnie musisz, pani, dziękować. Hrabia stoi za twymi plecami.

Zamarłam zdumiona, a potem szybko się odwróciłam. Jednak pomimo szczerych chęci nie zdołałam wykonać żadnego innego ruchu.

PO WIĘCEJ EBOOKÓW ZAPRASZAMY NA:
WWW.MOTYLEWNOSIE.PL
WWW.SKLEP.MOTYLEWNOSIE.PL

POZWÓL SOBIE NA ODROBINĘ LUKSUSU...



Inny wymiar erotyki